

# Boże Narodzenie w Mirogonowicach



Muzeum Etnograficzne, Wdzydze, fot. brusy.net

**Zofia Reklewska-Braun**

Przywołuję w pamięci Boże Narodzenia w Mirogonowicach. Samą mnie przy tym zastanawia, dlaczego nie pamiętam żadnej bożonarodzeniowej radości z tamtych lat? Może jej nie było wcale?

Nie - nie chcę tak myśleć. Nie chcę nadmiaru smutku. Nawet, jeśli był prawdą.

Najpierw odbywało się łowienie ryb w stawie. Oczywiście karpie. Przed dworem mirogonowskim były dwa stawy, trochę poniżej wzniesienia, na którym stał dom. Porządnie utrzymane i zarybione. Łowienie odbywało się kilka razy do roku, ale to wigilijne było szczególne. Potrzeba było karpie na stół dworski i czeladny.

Mam w oczach taką chwilę: stoję w kaloszach i rajtuzach (zawsze wałkujących mi się

na nogach, czego nie cierpię) w przyzwoitej odległości od stawu, pod czujnym okiem surowej panny Gieni i patrzę na staw pokryty lodem, spod którego, z przerębli kilku mężczyzn wyciąga sieci. Ciągną je po lodzie do brzegu. Błyszczące srebrną łuską białe brzuchy ryb połyskują na lodzie.

Wracamy do domu i już od sieni słyszymy wołanie, chyba Teresy, że *choinka będzie tym razem w salonie!* Nie pamiętam, jaki był rytuał, ale zdaje mi się, że bywała czasem w salonie, a czasem w saloniku. Może niekiedy w stołowym? Ścinana w naszym lesie, ubierana wyłącznie w zabawki robione przez nas ze zrzyneków kolorowych papierów kolekcjonowanych cierpliwie cały rok, z wydmuszek, skorupki orzechów i słomki. Nieśmiertelna gwiazda zwieńczała szczyt drzewka, przypominając, że istotą Świąt Bożego Narodzenia jest Jezus ze stajenki betlejemskiej. My, małe dzieci, oglądaliśmy ją dopiero po wieczery wigilijnej, która się odbywała zawsze w jadalni przy dużym stole. Wielki tłum domowników i gości, ruch, gwar, rozmowy. Dzielenie się opłatkiem.

Wigilia niezmiennie taka sama: zupa grzybowa, barszcz z uszkami, kapusta z grzybami, karp smażony z tłuczonymi ziemniakami i przysmak dzieci: mak ucierany z bakaliami i bitą śmietaną, po wieczery zapalone świece na choince i kolędy. Prezentów bywało bardzo mało - prawie ich nie pamiętam. Najczęściej były to jakieś drobiazgi zrobione w domu: szaliki, czapeczki, wyszywane chusteczki, czy coś takiego. Ale nastrój wspólnego śpiewania, modlitwy, radość z błyszczących na choince żywych świateł. Raz wybuchł pożar, od świecek oczywiście. Straszliwy popłoch, wszyscy się rzucają gasić, ktoś przynosi wodę... Nie stało się nic strasznego, na szczęście!

W okresie od Świąt Bożego Narodzenia do Trzech Króli stałymi gośćmi we dworze bywali chłopcy wiejscy z „Szopką”. Przychodzili wesoło pokrzykując, śpiewając kolędy i kantyczki, z gwiazdą i Turoniem, a co najważniejsze: z własnoręcznie zrobionym teatrzykiem kukiełkowym, który animowali po amatorsku wprawdzie, ale ja zawsze zachwycona byłam tą maleńką próbką prawdziwej sztuki teatru, którą jako dorastająca dziewczyna pokochałam wielką miłością.



## Kolędnicy

Za to Nowy Rok upamiętnił mi się, jako święto stangretów i fornali. Był to specjalny gatunek służby dworskiej. Stangreci powozili pojazdami „pańskimi”. Fornale zaś wozami gospodarczymi. Ze stangretami spotykaliśmy się zawsze jadąc gdziekolwiek, na przykład do kościoła w Waśniowie, czy do Grzegorzowic do Isi, czy do Czajęcic do Tadeusza. Pamiętam zwłaszcza tego jednego o nazwisku Gajec. Słyszałam często wykrzykniki w rodzaju:

*Niech Gajec zaprzęga!*

*Gajec zajeżdża!*

*Gajec zajechał i czeka przed gankiem!*

*Dzieci spieszcie się, bo Gajec już przed domem!*

Mama szczególnie go lubiła, bo był tym, który wioził Ojca tego ostatniego dnia 27 grudnia 1939 roku z piekarni w Ostrowcu do Waśniowa i był naocznym świadkiem jego śmierci. Toteż on przeważnie woził nas bryczką. Ale było ich więcej.

Zapamiętałam ich wszystkich z pewnego Nowego Roku, może to był ostatni Nowy

Rok w Mirogonowicach?

Stali, może w pięciu, może w sześciu, a może nawet kilkunastu... Mnie, dziecku nieumiejącemu jeszcze liczyć, oglądającemu tę scenę przez okno, z buzią przyklejoną do szyby, wydawało się, że było ich bardzo dużo. Stali na okrągłym trawniku, wokół którego zawsze zakreślały pojazdy zajeżdżające przed frontowy ganek. Śniegu nie było, tylko mróz i szron obficie przykrywający przemrożoną trawę, gdzieś dalej drzewa i krzewy okalające staw, dach czeladnej kuchni na lewo i oficyny po prawej. Właśnie Gajec wszedł do sieni i tak jakoś uroczyście woła:

*Pani Dziedziczko, Pani Dziedziczko, prosimy na ganek, będziem strzelać z bata na wiwat!*

Mama pospiesznie zawiązuje jakiś ciepły kapturek pod brodą, narzuca na siebie futro i wychodzi na ganek z przygotowaną już wcześniej na tę okazję tacą w rękę. Na tacy kieliszki i karafka z wódką. Mnie wolno oglądać to widowisko tylko przez okno, *bo za zimno na ciebie, Zosiuchna!*

Patrzę więc dalej przez szybę, jak rozstawieni w zgrabny szyk mężczyźni, z zachowaniem znacznych odstępów między sobą, pochyleni całym tułowiem lekko ku przodowi, odkręcają się równocześnie w prawo i nadając rozmachu biczom – strzelają! Równo, symetrycznie, tym samym rytmem wydobywają czarujące dla mnie dźwięki z rzemiennych batów. W przejrzystym, mroźnym powietrzu migają tylko supły powiązane w regularnych odstępach na długich, szerniałych od czasu i używania rzemieniach. Moje małe, dziecięce serce napęła uczucie irracjonalnej trochę dumy, że to moją Mamę tak oni fetują w Nowy Rok..

W parę lat później, w Ostrowcu, zdobywszy skądś kawałek rzemienia, próbowałam sama tak „strzelać”. Ale nigdy mi nie wychodziło to tak wspaniale, jak im tam, w Mirogonowicach.

Jednej Wigilii, zaraz po śpiewaniu kolęd, stanęłyśmy z ciotką Halą przy oknie wychodzącym na ogród. Właśnie gaszono świeczki na choince i można było bezpiecznie podnieść rolety. Bo w czasie całej okupacji zasłaniało się okna szczelnie czarnymi roletami, nieprzepuszczającymi ani odrobiny światła z wewnątrz na zewnątrz z obawy przed nalotami niemieckich bombowców. Leżał już śnieg. Ciotka

powiedziała:

*Zobacz Zosiuchna jaki piękny księżyc!*

Światło księżyca wydobywało kontury drzew i krzewów, odcinając je od zszarzałej bieli śniegu. Wewnątrz domu było już zupełnie ciemno. Stałam zachwycona tym rzadkim pięknem bożonarodzeniowej zimowej nocy.

---

*Fragment książki wspomnieniowej „Urodziłam się pomiędzy...” (Wydawnictwo Norbertinum, Lublin 2009).*

### **O dworze w Mirogonowicach:**

*Wielkanoc w mirogonowskim dworze*

## **Fotogaleria**



Zofia Reklewska-Braun po przyjeździe do USA, fot. arch. rodzinne.



Zofia Reklewska-Braun i Kazimierz Braun z córką i wnuczkami w domu w Buffalo, fot. arch. rodzinne.

---

# Wielkanoc w mirogonowskim dworze

**Zofia Reklewska-Braun** (*Buffalo, USA*)

## Dwór

A jaki był dwór w Mirogonowicach? Stał w bok od drogi: Ostrowiec — Waśniów — Słupia, którą jechały i zapewne nadal jadą, wszystkie wycieczki na Święty Krzyż z kierunku Ostrowca. Skręcało się z tej drogi na południe, w miejscowości Sarnia Zwola i dalej jechało kiepską, pełną kolein, wybojów i - po deszczu - błota, drogą

polną, około jednego kilometra do czworaków, stawów i pierwszych zabudowań dworskich. Po prawej dominowały nad polami Góry Jeleniowskie, z Górą Witosławską niemal w prostej linii królującą od południa nad Mirogonowicami i Wronowem. Teren był pofalowany, malowniczy, urodzajny, z dobrą sandomierską rędziną i gliną lessową, o których uczyłam się potem w szkole na geografii, jako o najżyźniejszych rodzajach gleby w Polsce.



Dwór w Mirogonowicach, lata trzydzieste XX w., fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Ukryty w dużej kępie drzew i zieleni, na niewielkim wzniesieniu ponad dwoma stawami, rozdzielonymi szeroką groblą, po której przemykała wąska droga dojazdowa - „stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany, świeciły się z daleka pobielane ściany...”.

Adres pocztowy pamiętam z kopert, które lubiłam sylabizować ucząc się - bardzo wcześnie - czytać: „Dwór Mirogonowice, gmina Momina, powiat Opatów”. Dom na zewnątrz był skromny, właściwie parterowy z przybudówkami, które znaczyły



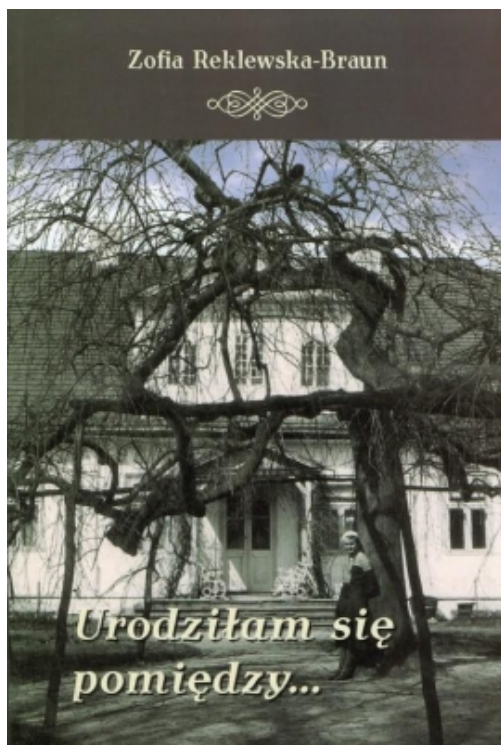
kolejne przebudowy i remonty. Nad wejściem frontowym, z dużą sienią, do której wiodły wysokie, kamienne schody, wznosiła się niewielka facjatka, będąca chyba pokoikiem gościnnym, a może składzikiem? Wnętrza dworu były piękne, zabytkowe, bogate w dzieła sztuki i rzadkiej jakości zdobienia.

Moja pamięć zamazała już bardzo szczegóły i kształty, choć mogę jeszcze przywołać nastrój niektórych pomieszczeń. W pomoc przyszła mi dość nieoczekiwanie praca magisterska Małgorzaty Pronobis, studentki KUL-u, która, pod kierownictwem profesora Tadeusza Chrzanowskiego, napisała w 1993 roku pracę badawczą o historii domu mego dzieciństwa. Jak się okazuje należał on do najwyższej klasy zabytków sztuki polskiej.

Sama nazwa miejscowości Mirogonowice notowana jest w archiwach już w XV wieku. Wspomina ją Jan Długosz w swych *Dziejach Polski*, a że nigdy tam nie było wsi, jedynie posiadłość ziemską, można sądzić, że prehistoria dworu mirogonowskiego sięga właśnie tego okresu.

Dom, który mogę nazwać moim domem rodzinnym, był stary, zapewne z pierwszej połowy XVIII wieku, drewniany, z bali modrzewiowych, ale podpiwniczony i to właśnie podpiwniczenie świadczy o istnieniu dawniejszej budowli, która musiała stać na tym samym miejscu. Obok domu był murowany lamus, nazywany także czasem zborem ariańskim, który historycy szacują na XVI wiek. Dwór przeszedł kilkakrotne przebudowy. Bale modrzewiowe pokryto tynkiem, a na tynk we wnętrzach naciągnięto duże panele płótna malarskiego, na których wykonane zostały polichromie o wysokiej jakości artystycznej, najpewniej w początku XIX wieku.

Także i moja Mama, przybywszy do Mirogonowic jako „Pani domu”, zaraz na początku swego małżeństwa, dokonała generalnego remontu i przebudowy niektórych części, w tym całego prawego skrzydła dworu, w którym mieściły się nasze sypialnie. Mama opowiadała żartobliwie, że kazała podówczas wyrzucić kilka furmanek śmieci ze dworu i zaprowadziła nowe porządki, co nie koniecznie podobało się Ojcu.



Okładka książki  
wspomnieniowej Zofii  
Reklewskiej-Braun, wyd.  
Norbertinum 2016 r, wyd.  
drugie.

Z dzieciństwa pamiętam mroczność pomieszczeń, pewien brak światła dziennego, ponieważ okna były niewielkie i mało wpuszczały z zewnątrz światła. Wieczorem i w nocy używało się wyłącznie lamp naftowych i świec. Elektryczności nie było jeszcze wtedy w Mirogonowicach. Przypominam sobie malarstwo ścienne, zwłaszcza pewną scenę na wodzie: wąskie łodzie, rybacy, wiosła, jakieś zabudowania w tle... Zdobne piece kaflowe, które zimą przyciągały swym ciepłem. Jeden był niezwykle — okrągły... W saloniku cieszył widokiem ognia i żarem polan, kominek... Salon i salonik, oba z fortepianami — jeden z nich był biały, tak samo jak i meble wokół niego.... Lubiłam tę białość w odróżnieniu od mroku innych pomieszczeń, których się trochę jako dziecko bałam. „Pokój turecki” intrygował dzieci niezwykłością rekwizytów, jakie go wypełniały, ale dopiero znacznie później, czytając *Trylogię* Sienkiewicza potrafiłam znaleźć doń właściwy kontekst historyczny. Na jego ścianach wisiały „szale,” to znaczy wielkie jak arrasy tkaniny — czerwone, przetykane czernią. Zresztą nie pozwalano nam zbyt często do „pokoju tureckiego”

wchodzić.

Biblioteka zapełniona była książkami, niedostępnymi we wczesnym dzieciństwie dla mnie, bo nie umiałam jeszcze czytać. Część z nich powędrowała z nami do Ostrowca, gdzie wiele z tych książek służyło mnie i Zygmuntowi w latach szkolnych. W Mirogonowicach czytano nam bardzo dużo głośno, no i kazano się uczyć na pamięć. Pamiętam okładkę mojej ulubionej książki *Cztery bajdy ciotki Adelajdy* i początek wiersza, który kazano mi mówić przy większym zgromadzeniu gości:

*Na marchewki imieniny,*

*Zeszły się wszystkie jarzyny.*

*A marchewka gościom rada,*

*Takie bajdy opowiada...*

Biblioteka wydawała się duża oczom dziecka i bardziej niż inne pokoje ciemna. Za to kaplica, do której się szło przez bibliotekę, musiała mieć większe okna i wraz z nimi więcej światła. Pamiętam częste wizyty z Mamą za rękę, składane w tym miejscu domu. Podczas wojny mieszkał z nami stale Ojciec Innocenty Buba, pijar z Krakowa, późniejszy prowincjał Pijarów polskich. Jego obecność umożliwia codzienną Mszę Świętą w naszej domowej kaplicy. Jak było przed tym - nie wiem. Ale przypominam sobie też niezwykle uroczystą wizytę biskupa sandomierskiego w czasie okupacji, który dokonywał rutynowych wizyt pastoralnych we wszystkich tego typu dworskich i pałacowych kaplicach.

Od wejścia do kaplicy przykuwał oko dużych rozmiarów krucyfiks, rzeźbiony w drzewie („lipowym” - dopowiedziała mi później Mama), z niezwykle wyrazistą figurą umęczonego Chrystusa, zwisającego bezwładnie w dół, ze spojrzeniem na Maryję stojącą u podnóża krzyża. Z drugiej strony Święty Jan Ewangelista. Insignia Męki Pańskiej ramowały krzyż od dołu i po bokach. Barokowe anioły w rogach podtrzymywały wstęgi łacińskich napisów - chyba cytatów z Pisma Świętego.



Odjazd biskupa sandomierskiego Jana Kantego Lorka, który wizytował kaplicę w mirogonowskim dworze, prawdopodobnie w 1943 r. .Autorka wspomnień w białym kołnierzyku na rękach niani, fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Posiadał też dwór mirogonowski cały szereg innych pomieszczeń w rodzaju sypialń, kredensu, kuchni, spiżarni, a chyba też coś w rodzaju pralni. Choć, naturalnie, nie było tam kanalizacji ani bieżącej wody.

Moja dziecinna pamięć nie umie odtworzyć planu całego dworu, jedynie pojedyncze pomieszczenia związane z określonymi wydarzeniami, które się utrwaliły we mnie mocniej niż inne. Jedno jest dla mnie pewne, że nie był to żaden luksusowy pałac, pełen zbytku i wykwintnych, a mało praktycznych pomieszczeń. Odwrotnie, mam prawo przypuszczać, że był to bardzo zwykły, duży dom mieszkalny ludzi przyzwyczajonych do ciężkiej pracy, do wczesnego wstawania i wczesnego kładzenia się spać, ludzi związanych z ziemią i kochających całym sercem swą ziemię, i całą bogatą tradycją rodzinną. Obrazy, znaki i symbole artystyczne zdobiące ściany mirogonowskiego dworu przeniosły z wieku w wiek informację o systemie wartości duchowych i moralnych jakimi Reklewscy żyli. Nie różniły się one niczym od tego, czym w XVIII, XIX i XX wieku żył każdy uczciwy Polak: „Bóg, Honor i Ojczyzna!” A

tej Ojczyzny dotykało się najbliżej i najpełniej we własnej, dobrze uprawionej ziemi.

Dwór mirogonowski uległ całkowitemu zniszczeniu po wojnie w okresie reżimu komunistycznego, kiedy to został zamieniony na siedzibę Państwowego Gospodarstwa Rolnego, w skrócie „PGR”. Mimo wielokrotnych petycji ze strony różnych osób prywatnych i instytucji, państwo komunistyczne nie uczyniło nic, żeby uratować ten wysokiej klasy zabytek. Gdy zakładano skansen w Tokarni na Kielecczyźnie pojawił się pomysł, żeby nasz dwór przenieść do niego. Ale i na to już było za późno. Realne mogło być jedynie zbudowanie repliki dworu mojego dzieciństwa. Władze wojewódzkie obiecywały to wielokrotnie... Obecnie dwór jest odbudowany i mieszka tam mój brat Zygmunt Reklewski z rodziną.



Mirogonowice, stan obecny. Dwór został odbudowany przez brata Zofii Reklewskiej-Braun, Zygmunta Reklewskiego, profesora SGGW w Warszawie, który od dziesięciu lat mieszka tam z rodziną.

## Ostatnia wojenna Wielkanoc

Ojciec Innocenty, pamiętam, zorganizował ostatnią wojenną Wielkanoc w Mirogonowicach. Wiadomo już było, że wojna idzie ku końcowi, że Niemcy muszą przegrać. Nikt jeszcze nie przewidywał tragicznego końca Powstania Warszawskiego, ani zagarnięcia całego kraju przez Sowiety. Dokonywała się stopniowa koncentracja oddziałów partyzanckich. Zapewne było to przygotowanie do akcji „Burza”. Partyzanci świętokrzyscy także musieli już być w nią zaangażowani. Może zbierali się właśnie na tę wędrówkę ku stolicy, która miała stać się miejscem ostatecznej rozgrywki o Polskę prawdziwie wolną, zarówno od okupacji niemieckiej jak i sowieckiej? Przyszli do Mirogonowic świętować Święta Zmartwychwstania Pańskiego z nadzieją na najlepsze. Pamiętam te Święta.

Było już pięknie, wiosennie, ciepło. W ogrodzie, na trawniku pod starym jesionem, który Wuj Zbyszek Wasiutyński upamiętnił na Mamy ex-librisach, siedział na krzeselku Ojciec Innocenty i spowiadał. Długi szereg wychudzonych sylwetek czekał na tę okazję w wielkim skupieniu i ciszy. Nie wiem ilu i jak długo się spowiadało, ale zapewne trwało to godzinami. W tym czasie od przodu domu pojawił się Ksiądz Glibowski z Waśniowa święcić pokarmy. Długie stoły, przykryte lnianymi obrusami, pełne jakichś najprostszycy produktów stały na klombie przed domem. Ksiądz Prałat szedł wzdłuż stołów z wielkim kropidłem w dłoni, z którego spadały na pokarmy i na nas rzęście błyszczące w słońcu krople. Święcone było nie tylko dla nas ale i dla pracowników dworskich i dla partyzantów.

A potem Msza Św. od strony ogrodu. Odprawiał Ojciec Innocenty. Ołtarz połowy ustawiony był na werandzie, a my wszyscy klęczeliśmy w trawie pod jesionem.

Klęczę i ja z moim rodzeństwem. Wszędzie dookoła nas partyzanci. Widzę przed sobą ich przetarte na wylot zelówki butów. Starte, spłowiałe koszule, prawdziwie wiatrem podszyte wiatrówki. Każda trochę inna, wiele „zdobycznych” na Niemcach. Jedność umundurowania stwarzają te właśnie dziury w zelówkach, wyblakłość tkanin i zużycie materii. Dzwonek, ministrant dzwoni na Podniesienie. Ksiądz podnosi Pana Jezusa nad głowę. I cisza... Wielka nabrzmiała błaganiem cisza. Tylko ptaki w gałęziach drzew zwiastują wiosnę. Długo w skupieniu cały oddział przystępuje do Komunii Świętej na schodach ganku. Podchodzą czwórkami i klękają. Większość to bardzo młodzi chłopcy. Wielu nie ukrywa łez. Żaden nie wie czy dożyje jutra...

Można przypuszczać, że ginęli masowo w czasie akcji „Burza”, idąc z pomocą Powstaniu Warszawskiemu.

*Fragment książki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun „Urodziłam się pomiędzy”, wyd. Norbertinum, Lublin 2016 (drugie wydanie).*